NUMER 22. DNIA 28. MAJA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

DR. ZOFJA DASZYŃSKA-GOLIŃSKA. 4)

Społeczne zadania naszej kobiety.

(Odczyt wypowiedziany na dochód stow. pomocy naukowej dla Polek w Krynicy, Szczawnicy i Zakopanem w sierpniu 1904 r.)

(Dokończenie.)

Biorąc udział w życiu różnych, a głównie uboższych warstw społeczeństwa, kształtując jego społeczne przejawy, kobieta stać się może piastunem polityki społeczno-narodowej i odegrać w niej pierwszorzędną rolę: przedewszystkiem nadając jej czysto demokratyczny kierunek, dopomagając do zwycięstwa postępowym hasłom, ideałom prawdy, piękna i dobra, a jednocześnie łagodząc antagonizmy odrębnych warstw społeczeństwa, przeciwnych sobie stronnictw politycznych, tłumiąc fanatyzmy religijne i dopomagając do zwycięstwa swobodnemu rozwojowi jednostek, ożywionych jedną wielką myślą — służenia wspólnej sprawie.

Że takim a nie innym będzie wpływ społecznej pracy kobiet nietylko u nas, ale i wszędzie, zapewnia nas historja i baczne przyglądanie się przebiegowi kobiecego ruchu. Historja mówi, że społeczeństwa republikańskie, jak Australja, Stany Zjednoczone A. P., Szwajcarja, a choćby Polska, kobiecie zapewniały stanowisko wolnej i pełno- jeżeli nie równoprawnej obywatelki, gdy duch absolutyzmu panujący w Rosji, w Turcji, w Niemczech poniżał ją do roli zamkniętej w haremie czy w domu rodzicielki i gospodyni. W dzisiejszych dążeniach kobiet do uzyskania praw politycznych, czy wykształcenia wyższego najwierniejszymi ich sojusznikami są demokratyczne stronnictwa. Nowy, równych praw i obowiązków w społeczeństwie żądający, element kobiecy nigdzie oprzeć się nie może na instytucjach i zasadach dawnych, rozwija się zaś i kwitnie na nowej glebie i wśród ludzi demokratycznego typu.

Cywilizacja dotychczasowa była dziełem mężczyzn, dziś, gdy kobieta występuje na arenę kultury, gdy wnosi do wszystkich przejawów społecznego życia element swego dobrego uczucia, które nie tracąc z oczu społeczeństwa i idei, widzi przecież zawsze cierpiącą i godną pobłażania i dobroci jednostkę, cywilizacja zmienia swój charakter. Ideał wojny ustępuje ideałom pokoju, kult siły kultowi swobody i opieki nad słabymi. Pracą społeczną obejmuje się nietylko odległe masy, ale i najbliższe grupy domowników.

Zarzucą mi może, iż owa era przyszłości wniesie miękkość, zniewieściałość do kultury, a drobiazgowość do społecznej pracy, że chcąc wszystkich uszczęśliwić i wszelkie usunąć cierpienia, obniżymy ideały i skrępujemy silne duchy.

Nie sądzę, by tak było, bo przecież społeczna praca kobiet nie wykluczy udziału mężczyzn w kształtowaniu spraw ogółu? Niech więc o n i dbają, aby nie czerniał róg złoty, wzywający do czynu, gdy stanowcza nadejdzie godzina. Kobiety, jak zwykle, biorą na siebie mniej wdzięczną rolę pracy codziennej, szarej, żmudnej, ale pracy u podstaw.

Chęci dobre i uzdolnienie, jakie wykazują kobiety na niewątpliwie nowych dla nich polach społecznej pracy, to znakomity materjał, który społeczeństwo zużytkować powinno. Ale przekonawszy się, iż taki materjał istnieje, stworzyć trzeba warunki, w których mógłby zostać odpowiednio zużytkowanym.

Na ich czele postawiłabym rozpowszechnienie opinji, iż pewne działy etyczno-społecznego życia należałoby kierownictwu kobiet powierzyć. A zatem nauczanie młodzieży płci obojej, zacząwszy od najmłodszego wieku, aż do szkół średnich, dając im odpowiednie do tych zadań przygotowanie. Dobroczynność gminna po miastach oddaną być powinna zarządom kobiecym, ażeby z ckliwo-pogardliwej filantropji przeszła do szeregu obowiązków społecznych, jako dopomaganie tym, co sami sobie dopomódz nie mogą. W tym celu dla kobiet urządzać należy kursa społeczno-filantropijne, na których sprawa ubogich rozpatrywanąby była w związku z ogólną kwestją społeczną.

Podobnie radom czy stowarzyszeniom kobiecym powierzyćby należało sprawę prostytucji, którą dotąd opiekują się niepowołane i często brutalne organa policji.

Domaga się tego nietylko humanitaryzm, ale i mądra polityka społeczna. Kobiety niewątpliwie dążyć będą do zamknięcia domów nierządu. do wyswobodzenia nieszczęśliwych ich mieszkanek i uświadomienia, jaką spełniają rolę. Dotychczasowa cywilizacja, cywilizacja stwarzana i kierowana przez mężczyzn poradzić sobie nie umiała z tą okropną, palącą, a tak drażliwą sprawą. Nierząd i syfilis toczą społeczeństwo, podkopują zdrowie rodzin, wlewają jad w żyły młodzieniaszków w gimnazjalnych mundurkach.

Kobiety sprawy te ująć w swe ręce powinny, bez fałszywego wstydu, bez wahania i kompromisów w imię konieczności społecznej, z mocnem postanowieniem, ażeby zmyć tę plamę hańby z czoła innych kobiet, z przekonaniem, że wszelki postęp społeczny zacząć powinien od zapewnienia elementarnych warunków fizycznego i moralnego zdrowia.

Wobec rozpowszechnienia pracy kobiet po fabrykach niezbędne są urzędniczki wśród inspektorów przemysłowych. W Anglji, w Stanach Zjednoczonych A. P., we Francji, nawet w Niemczech inspektorki fabryczne stały się niezbędnym organem obrony i opieki dla robotnic zatrudnionych w przemyśle. Gorliwość inspektorek, umiejętność pozyskania sobie robotnic i takt w postępowaniu z przedsiębiorcami wydają wszędzie wyborne rezultaty. Ochrona kobiecej pracy, tak niezbędna dla podtrzymania rodziny, dla zdrowia i życia przyszłych pokoleń, musi być oddaną w ręce kobiet, o ile z pustego hasła, czy martwego paragrafu prawa przejść ma w istotną samoochronę społeczeństwa.

Koniecznością byłoby również zaprowadzenie po kasach dla chorych lekarek obok lekarzy, wobec ogromnego procentu ubezpieczonych w nich kobiet. Wtedy kasy chorych stałyby się prawdziwymi rozsadnikami zasad społecznej hygjeny, nietylko instytucjami, zapewniającemi pomoc lekarską w razie choroby.

W szpitalach powinny być posady asystentek lekarek, jeżeli nie ordynarjuszek. Przeszkodę stanowi dotychczas brak nie tyle wykwalifikowanych, co mających prawo leczenia kobiet, ale brak ten w ciągu najbliższych lat paru usunie się niewątpliwie, podnosząc zdrowotność ogólną.

Koniecznością jest również wytworzenie uzdolnionych i wykwalifikowanych dozorczyń dla chorych. Spełniające dotąd te obowiązki zakonnice nie mają pojęcia ani o hygjenie, ani o zabiegach niezbędnych przy wykonywaniu poleceń lekarskich, ani o kuchni djetetycznej. Dozorczynie świeckie są to najczęściej osoby ordynarne i pod żadnym względem nie budzące zaufania.

Wiele posad, które bezpośrednio stykają urzędnika z ludem należałoby obsadzić przez uzdolnione w tym kierunku kobiety. Nauczycielki ludowe wykazały, że pomimo nadzwyczaj trudnych warunków umieją one stanąć na wysokości zadania.

Podobnie wielkie usługi oddaćby mogły instruktorki mleczarstwa, rolnictwa, ogrodnictwa, pszczelnictwa. Są to posady nowe, dla których brak częstokroć sił odpowiednich. Cóż kiedy niema dotąd na całej przestrzeni ziem polskich ani jednej szkoły, która mogłaby przygotowywać podobne specjalistki. Bo pamiętajmy, że trzeba tu kobiet z wyższem ogólnem i z doskonałem fachowem przygotowaniem, że zbliżając się do ludu, musiałyby mu one dawać obok wiadomości fachowych wskazówki co do ich zużytkowania, zakładać spółki, obejmować i normować warunki handlowe, przystosowywać się do potrzeb okolicy. Mieć nieustannie na pamięci, iż przygotowują kółka ogólnego społecznego organizmu, oto ich obowiązek.

Wszystkie te stanowiska i wiele innych, których na razie nie wymieniam, pozwoliłyby kobietom zużytkować bogate zasoby swych społecznych uzdolnień, wnieść do społecznego życia pierwiastki nowe, tak niezbędne w istotnej kulturze. Tymczasem zamiast pracy żywej, samodzielnej, torującej nowe drogi, zużytkowuje się je dzisiaj w zajęciach biurowych żmudnych i bezmyślnych.

Przy takim ogromie prac nie zaczętych niemal, wobec dziedzin kultury, leżących odłogiem z braku sił chętnych i umiejętnych, rozlegają się skargi na

pracę kobiecą, która zastępuje i wypiera męską, podnosi się trwożna obawa, co robić z zastępem kobiet, chcących i umiejących pracować w zawodach inteligentnych, gdzie i mężczyznom trudno o pracę. Winny temu nieraz smutne konieczności ekonomiczne.

Dużo także zawiniło fałszywe pojęcie równouprawnienia, które, zamiast zwracać kobietę na nowe drogi, dążyć jej każe do tych samych posad i zajęć, które już zajmują mężczyźni. Otrzymują one na tej drodze jakieś ostatki, których nikt już nie chce, schodzą na najniższe stanowiska, najgorzej są płatne.

Spotykamy je coraz liczniej tam, gdzie mechaniczna lub biurowa praca odstrasza inteligentniejszych mężczyzn, pracujące za półdarmo, zależne i zgnębione. Na tych stanowiskach właściwości dodatnie kobiecego umysłu rozwinąć się nie mogą, przeciwnie robią one przykre wrażenie, jak gdyby świat męski skierować pragnął emancypacyjne dążenia kobiet dla wytworzenia z nich sobie białych murzynek, do tych zajęć, które są dlań nieprzyjemne i mało intratne.

Kobiety, świadome uzdolnień i właściwości płci swojej, sprzeciwić się powinny temu kierunkowi emancypacji, bo nietylko nie przynosi on nic dobrego dla samych pracujących, dając im nędzny zarobek, a odejmując w zamian zdrowie i swobodę umysłu, ale pozbawia społeczeństwo tych cennych darów, które n o w a, odpowiednio ukształcona kobieta przynieść mu może.

Kobieta w roli społecznej działaczki jest dziś jeszcze siłą mało wypróbowaną. Próby dotychczasowe były szczęśliwe, ale zbyt nieliczne — kto wie czy wyszkoliwszy się w wykonywaniu drobiazgowych spraw, od których zależy prawidłowy bieg kultury pokoju, nie potrafi ona wskazywać jej dróg nowych i zdobyć niedostępne dziś placówki.

Kobiecie otwarte być powinny wszystkie drogi pracy, aby wybrała dla siebie właściwe. Powinna mieć dostęp do wszystkich źródeł wiedzy, nauki, i doświadczeń życiowych, ażeby wysoka kultura pozwoliła jej otwierać szlaki właściwe i prowadzić niemi społeczeństwo. W tym celu słusznem jest dążenie kobiet do zdobycia praw obywatelskich, bo na tej tylko drodze oddziałać mogą na społeczeństwo i ująć w ręce jego sprawy, te właśnie, które dotąd były zaniedbane. Prawo głosu, a zatem wyboru i obieralności w gminie wiejskiej ważniejszem tu będzie niemal od ogólnego prawa wyborczego. O udział w zarządach autonomicznych ubiegają się też kobiety na zachodzie, zdobywają go stopniowo, n. p. w Anglji.

Jako początek wpływu na sprawy szerszego ogółu droga to całkiem właściwa. Niewyszkolone w sprawach polityki ogólno-państwowej kobiety łatwiej zdobędą znajomość spraw mniejszych terytorjów, a to są sprawy właśnie, w których nietyle samo ustawodawstwo, co sumienne jego wykonanie, wchodzenie w szczegół każdy, owa już wspomniana praca u podstaw przeobrazić i posunąć naprzód mogą stosunki.

Dopiero wtedy, gdy kobieta posiędzie dostęp do wszystkich źródeł pracy, wszystkich dóbr kultury, gdy przyznane jej zostaną prawa i wpływ bezpośredni na bieg spraw publicznych, rozwinie się wszechstronnie i swobodnie kobieca indywidualność.

Nie wyniknie z tego anarchja umysłowa czy moralna, jak przewidują małoduszni, ani walka płci o wpływ i stanowisko, walka możebna wtedy tylko, gdy stoimy przy indywidualnym poglądzie na sprawy ogólne, a urządzamy się w społeczeństwie, jak na własnem podwórku, szukając najzaciszniejszego kąta.

Pola pracy, wpływu, dalekie widnokręgi przyszłości ukażą się dla każdej inteligentnej, etycznej i uspołecznionej jednostki, mężczyzny czy kobiety, jeżeli kobieta i mężczyzna życie swe odda społecznej służbie dla polskiego ogółu.

Pod trzeciego króla.

(Ciąg dalszy.)

Pokazywano mi na Dunaju i ów domek, w którym mieszkał rycerskiego ducha szewc Kiliński, co to tak wygarbował skórę panom Moskalom.

Bodaj się tacy szewcy na kamieniach rodzili, pomyślałem, idąc do kupna żywobycia. Słonina tu tania niezwykle, a chleb, zwłaszcza sołdacki, lubo gruby, ale bardzo smakowity.

Wychodząc z Warszawy żegnałem się z nią, a to, com wtedy sobie zapisał w notatce, wiernie dziś przywodzę:

„Żegnam cię, matko Warszawo, prawdziwa męczennico, któraś wycierpiała mężnie katusze niesłychane, której niewinni synowie ginęli i giną w stra-

snych lodach Sybiru. Wrogowie śledzą każde tętno twoje, i boją cię się jednak. Bo oto utrzymują tu tyle wojska i z wałów cytadeli tyle paszcz armatnich spogląda groźnie na ciebie.

Może, matko Warszawo, stopy moje nie będą bruku twego deptały, może cię już nie ujrzę, jednak dusza moja nigdy o tobie nie zapomni.“

Przeszła ta Warszawa nie lada koleje. Szwedzi nabroili tu nie mało w r. 1655 i 1656. Jan Kazimierz musiał się dobrze borykać z Szwedami i ze zdrajcą elektorem Brandenburskim, zanim ich stąd odpłoszył. Uwadził o nią r. 1657 i książę Siedmiogrodu Rakoczy z Tatarami i Wołochami, potem Moskale wyprawiali tu tyle razy krwawe nieszpory i, dziwić się należy, iż w Warszawie jeszcze tyle pięknych gmachów istnieje.

Lud tu dorodny a szykowny, duszęby wyjął rodakowi, a tylko garść ugodowców, rozumnie a bez hałasu, pchać usiłuje patrjotyczną ludność do stóp carskich. Ale to „nie chwyci“.

O, zaprawdę — piękna jest Warszawa i możemy się nią pochlubić śmiało, jeno te moskaluszki zaśmieciły ją za dużo. Ale Bóg wielki, a fortuna zmienna, jak mówił Starowolski do króla Szwedów.

Retman i starszyzna powracała z Warszawy późno w noc z miną siarczystą i my wrócili na tratwy jakoś weselsi.

Na drugi dzień dla „stryjaszka“, który dmuchał z góry jakby umyślnie, bym mógł pójść na Pragę, staliśmy. Po zniszczeniu jej przez dzikiego Suworowa odbudowała się ładnie, i dziś tu spokojnie na oko, ale czy ludność tutejsza zupełnie o tej strasznej rzezi w r. 1794 zapomniała?...

Zwiedziłem tuż za Pragą i pobojowisko Grochowa, świadka polskiego męstwa, które gdyby nie niesubordynacja Łubińskiego, byłoby może grobem dla Moskali.

Moskale mają wybudowane wspaniałe obeliski, a nasze biedne wojaki ani krzyża na mogile mieć nie mogą. Cisza tu dzisiaj, a jednak gdy człek stanie pod owym słupem żelaznym w r. 1823 postawionym na pamiątkę zbudowania tej sławnej szosy to jakież myśli cisną się mu do głowy! Na tę to kolumnę żelazną, wódz moskiewski w roku 1831:

„...Wskazał swoim palcem.
Nazwał Polaka w gniewie warjatem, zuchwalcem
I gdy trąby zawrzasły, już szeregi tłumne
W mgnieniu oka z stron wszystkich pędzą na kolumnę“.

Sławna Olszynka wyrąbana, a tylko okopy tu i ówdzie wskazują, że tu kiedyś było gorąco. Ucałowawszy tę ziemię, którą bracia moi tak zrosili krwią serdeczną, zwiedziłem i Wolę, w której Sowiński o szczudle, nie mając pomocy od lekkomyślnych, a zawsze niezgodnych rodaków, poległ śmiercią, godną spartańskiego Leonidasa.

Kapliczka, która była świadkiem jego męstwa i chwalebnego zgonu, została przerobiona na cerkiew szyzmatycką, a ściany jej ubrane armatami imitowanemi, pokryte są napisami o tem, co zaszło, naturalnie w duchu Rosjan. Ściany zewnętrzne tejże ubrano w kule rosyjskie, które ją obsiadły niby rój os, a które chyba każdemu rodakowi przypominają męstwo sędziwego starca.

Szańce są w dobrym dotąd stanie i gdy wejdziesz na nie, gną ci się mimowoli kolana na myśl, ile ten kawałeczek świętej polskiej ziemi wypił krwi i to niestety napróżno.

W kaplicy żołdak jakiś, oprowadzając mię, opowiadał o „chrabrosti russkiej rabiaty“, ale człek ani słuchać tego nie może, bo mu się zdaje, że widzi Sowińskiego zamordowanego na stopniu ołtarza, którego widok samych Moskali wówczas, lubo rozjuszonych — bardzo przeraził — jak nam świadczą współcześni.

O śpijcie, zacni obrońcy, w tej świętej ziemi, której z taką odwagą broniliście, może Bóg dobry sprawi, że z prochów waszych powstaną mściciele i wasza krew serdeczna nie pójdzie na marne!

Smutny wróciłem do budy na tratwę z Woli, i dopiero głos retmana: „Dobywaj!“ wyrwał mię z zadumy i niebawem ruszyliśmy dalej po pod most wspaniały.

Aby przypadkiem nie uderzyć tratwą na filar mostu, czyli „nie uryć świni“, dodano nam do pomocy specjalnych ludzi, coś w rodzaju pilotów morskich, którzy kotwicami, czyli, jak flis zwie „kotami“ nawodzili tratwy w „izbicę“ mostu. Flisi mówili „ho, ho, boi się szyper świni, to musiał puścić tutaj kota“.

Niewesołe wrażenie wywarła na mnie i cytadela tak zwana Aleksandryjska, w środku której wznosi się pomnik Aleksandra I. z napisem rosyjskim: „Aleksandru Pierwomu, Imperatoru Wsierossijskomu, Pokoritielu i Błagodietielu Polszczi, Wozdwignut po okonczanii Warszawskoj Citadeli 19 Nojabrja 1835.“ Na polskie tak się to ma tłumaczyć: Aleksandrowi I. Cesarzowi Wszechrosji, Zwycięzcy i Dobroczyńcy Polski, wzniesiony po ukończeniu Cytadeli Warszawskiej dnia 19. listopada 1835 r.

Ile tu naszych ludzi zadławiono, ile na stokach tej warowni legło pod kulami morderców, to się dowiemy chyba aż na sądzie boskim. I lubo prawdą to jest, że czas wszystkie rany, by i największe goi, ale jakiegoż zadośćuczynienia dla nas

musieliby się chwycić panowie Moskale, abyśmy im te rzezie, rabunki i mordy mogli zapomnieć? Czy prawy Polak może tych krzywd zapomnieć?

Nie, to jest wprost niemożliwe i nie w mocy narodu, który chce żyć dalej i który chce mieć prawo do szacunku jakiego takiego. Mogą magnaci pełzać do stóp carskich, bo to wyssali z piersi swych matek, ale dobry Polak długo będzie jeszcze powtarzał za Krasińskim: „Bo z mlekiem wyssałem, by Was niecierpieć, to bosko i pięknie i ta nienawiść jest mem szczęściem całem“. Bez zadość uczynienia i Bóg winy darować nie chce.

Tuż za cytadelą niedaleko ujrzałem Bielany, które ani w połowie nie dorównywują Bielanom krakowskim, tak co do położenia geograficznego, jakoteż i klasztoru.

Ale warszawskie Bielany — dla mnie chłopa przynajmniej, mają tę wyższość od krakowskich, że tuż przy klasztorze spoczywa jeden z największych przyjaciół ludu polskiego — chłopów i mieszczan i w ogóle najlepszy polityk, jakiego Polska miała w końcu swego istnienia jako państwo — Ojciec ks. Staszyc. On to pisał rozbrykanej a samolubnej wonczas szlachcie:

„Ratuj się szlachto, nie potrzeba abyś traciła twoje swobody i wolność, ale potrzeba abyś twoje prawa upowszechniła, abyś powiększyła liczbę obywateli swobodnych i wolnych. Nie uratujesz się konstytucją cząstkową — czyli, że tak rzekę połataną. Jest to (dziś) epoka, gdzie Polska zupełnej odmianie podpaść powinna“.

On to, widząc, do czego panowie już wonczas Polskę doprowadzili, otwarcie bez osłonek rzucał im w oczy ich zbrodnie narodowe. Oto co im pisał:

Kto na Sejmikach (na naszych prawyborach przyp. aut.) uczy obywatela zdrady, podstępów, podłości, gwałtu; kto niewinną szlachtę najpoczciwiej i najszczerzej swojej ojczyźnie życzącą, oszukuje, przekupuje i rozpija? Panowie. Kto rwał Sejmy? Panowie. Kto sądowe magistratury zamienił w targowisko sprawiedliwości, albo w plac pijaństwa, przekupstwa i przemocy? Panowie. Kto koronę przedawał? Panowie. Kto koronę kupował? Panowie. Kto wojska obce do Polski wprowadził? Panowie. Kto przedawał Polaków? Panowie!...

Nie ten był pewien sprawiedliwości, kto kładł przed sędzią prawo, ale kto oddawał listy pańskie.... Duchowni w swoich naukach, zakonnicy po ambonach, na każdą uroczystość smażyli się w pochwałach tych, którzy największe niecnoty, krzywdy i zbrodnie pełnili....

Żaden z Panów nie ruszył się z ofiarą swego majątku i życia na obronę ginącej Rzeczypospolitej... i owszem mówili: Niech się dzieje z krajem co chce, ja to wiem, iż zawsze w mojej wsi będę wójtem... Ale nad rozbiór kraju gorsze złe Panowie wyrządzili Polakom: zatracili narodowy charakter“.*).

Czytając dziś takie słowa, powiedziałby ktoś, że to pisze skrajny socjalista, albo ścigany, niby zwierzę leśne ludowiec, a to pisał ksiądz, patrjota minister późniejszy i to sto czternaście lat temu! Jak tu nie podziwiać odwagi cywilnej tego męża?

Jakób Bojko.

(C. d. n.)

*) Przestrogi dla Polski 1790.

W. DALECKA.

DOBRY PASTERZ.

(RZECZYWISTOŚĆ.)

„Dobry pasterz za owce swoje odda duszę swoją...“

(Dokończenie.)

Gromadami, po dziesięciu, przystępowano. Jeden po drugim wysuwali się naprzód, zbliżali się do kubka. Mieli chwilę wahania, bledli bardziej jeszcze; jednym krople zimnego potu występowały na czole, innym wyciągająca się ręka odmawiała posłuszeństwa i raz po raz martwo wzdłuż ciała padała — a wszyscy mieli jednostajny, dziki, przeszywający wyraz źrenicy, znieruchomiałej a wytężonej, z głębiny ducha jakby ostrzem godzącej w zagadkę własnego bytu. Dłoń zanurzała się w kubek, szukała czas jakiś niepewnie, szeleszcząc w złowrogich zwitkach, a potem drapieżnym skurczem chwytała pierwszy lepszy i wynurzała się szybko ze swą zdobyczą. Otwierano kartę: biała! przedziwnie czysta!

Słońce uderzyło nagle na ten olśniewająco biały papier, na plac, na ludzi, na otaczające powietrze; potężny wybuch życia z szumiącą krwią uderzał w skronie, niemal oślepiał oczy, podstępował do gardła, — rzucano się wstecz tak szybko, jakby przebić chciano pierścień wojska i lecieć co prędzej, na szerokie pola, na wierzchołki gór, na obszary życia...

Lecz jeden z nich zostawał. Tego natychmiast dwaj żołnierze brali pomiędzy siebie i na bok uprowadzali.

Dziwny był ten pierwszy samotny w obec gromadki dziewięciu, którzy powracali do życia. Żywy jeszcze, lecz już do żywych nie należał. Dla niego słońce już dziś nie przekroczy południa. Wyglądał jak martwy, zanim nie stępieje pierwsze wrażenie ciosu, — potem już wybuchnie przestrach, dziki bunt, wstręt i zgroza, i niezgłębiona, beznadziejna, bezsilna rozpacz.

A oto z drugiej gromadki oddziela się już drugi, a potem znów inny, i jeszcze, i jeszcze, aż dopełniła się miara, pełny plon śmierci — dwudziestu i trzech!

Kordon zacieśnił się. Tamci, inni, dzieci szczęśliwego losu, już wolni wracają do chat — z długiej, dalekiej wracają wędrówki, aż od progu śmierci; wita ich rodzina z wybuchami radości, ze łzami szczęścia, jakby to zgoła nowi byli ludzie, nie ci, co dziś rano wychodzili na sianożęcie, do swych ogrodów, na swoje pola.

A ci na placu stoją — czekają jeszcze. Po co? Na co?

Ach, choćby raz jeszcze zaczerpnąć pełną piersią czystego, wolnego powietrza — choćby jeszcze jedna chwila słońca i rzeczywistości — i życia! A może skąd zbawienie nadleci? Ksiądz po coś poszedł, może coś jeszcze przyniesie? Dobry pleban jest opatrznością ich wioski, czyż go nie kochają jak ojca, czyż we wszystkich ich potrzebach i smutkach nie bywał dla nich ojcem? Przestrach i rozpacz zmieniają się na chwile nadziei — nadziei, w którą w głębi duszy nikt naprawdę nie wierzy.

A czas się dłuży, każda chwila trwa lata. Słońce już pół drogi ku południowi odbyło. Już z wysoka ciska swe piękne promienie, w potokach światła płonie świat cały, i strzechy ich chat, i sady owocami rumiane, i jasne szlaki dróg, przez zielone wzgórza biegnące, i dookoła przestrzeń gór, tonąca w mgle srebrnoniebieskiej.

Oczy skazańców, z wytężeniem skierowane na wzgórze, kędy wijącą się drogą ksiądz odszedł. Za chwilę pojawić się może z powrotem. Co przyniesie? Śmierć czy zbawienie? Wszystko inne, choćby najsroższe kary, które ponieśćby wypadało, niczem są wobec zasadniczego dwugłosu życia lub śmierci.

Aż oto się ukazuje. Widzą jego postać wysoką w kapłańskiej sukni, długi włos biały, który słońce wysrebrza, a wiatr rozwiewa. Idzie już, idzie! Śpieszy się bardzo, wymachuje długiemi ramionami, nie wspiera się nawet na kiju, jak młodzieniec przeskakuje drobne strumyczki i wyrwy na wiejskiej drodze górskiej. Dobry ksiądz! Zbawienie im niesie, jak biały gołąb — inaczej czyżby tak śpieszył?

Jakoż niósł im zbawienie. Nie takie jednak, na jakie oczekiwali z zapartym w piersi oddechem. Zaledwo stanął na placu, zaledwo zdyszanym głosem mógł zrozumiale przemówić do oficera — już z samego wyrazu drgających ust zrozumieli, że przyniósł im — śmierć!

I ogarnęła ich rozpacz. Niema, stężała, męska rozpacz, straszliwie cicha, głęboka jak samo serce człowiecze.

A ksiądz mówił, z szerokim giestem głębokiego smutku. Cofnięcia wyroku nie zdołał wybłagać u dowódcy; Metz wzięty — Francja przegrywa — nie może być zmiłowania! Muszą umrzeć — ale on, ich proboszcz, wyprosił to jedynie u komendanta, że o dwie godziny opóźniono wyrok — o dwie godziny, w których będzie mógł przygotować ich na śmierć, pogodzić dusze ich z Bogiem, mówić o przyszłem życiu, które ich czeka — już tak blizkie!

Oficer odczytawszy kartę komendanta, skinął księdzu potakująco i spojrzawszy na zegarek, wydał sierżantowi stosowne rozkazy.

Ksiądz zaś zwrócił się do skazanych.

Wszystko, co w duszy jego przez długie życie zebrało się z częstych rozmyślań, z samotnych rozmów z Bóstwem, z wnikań głębokiem a miłosiernem wejrzeniem w otchłanie duszy człowieczej — wszystko to chciał teraz wyczerpnąć z siebie, przelać na nich, przerzucić im w serca, przepoić, niem ich dusze.

Do stojących martwo, z opuszczonemi czołami, przystępował kolejno, przemawiał gorąco, przenikająco, a czule, jak brat zarazem i jak ojciec, i jak poświęcony apostoł. Czerpał z ogromu miłości, jaką serce jego chroniło w swej głębi, uniesionemi słowy mówił rzeczy podniosłe i wielkie, dalekie od ziemskich trosk i ziemskich prochów, pełne jasnej słodyczy, przejęte blizkością Bóstwa...

I w dłuższej, krótszej chwili rysy skazańca wypogadzały się. Oko zapalało się blaskiem zaświatnych ideałów i cichy spokój, jak jasność, jak piękno pięknej śmierci roztaczał się na obliczu. Kolana uginały się same, pod błogosławiącą dłonią kapłana pochylała się głowa, szemrała spowiedź szybka, głęboka, skruszona i nierzadko łza bujna spadała na piasek rozpalony południem.

W ciągu pracy od czasu do czasu ręka proboszcza sięgała nieznacznie po zegarek i coraz żyw-

szy ogarniał go niepokój, czy zdoła ukończyć ze wszystkimi. Lecz oto już wszyscy — prawie wszyscy — uspokojeni, cisi, oczekujący śmierci, jak chwili jasnego odlotu, już nie żegnają nic i nikogo, już myślą w zaświatach, dusze ich Boga czekają.

Pozostał tylko ostatni. Człowiek lat średnich, wygląda bardzo spracowany i odzież ma uboższą niż inni. Znać ciężkie myśli pochyliły mu głowę ku ziemi; w ręku machinalnie obraca swoją kartę śmiertelną, zresztą zdaje się zgoła nie zwracać uwagi na to, co dokoła niego się dzieje.

Ksiądz niespokojnie spojrzał na zegarek — zaledwo kilkanaście minut pozostało. Zbliżył się do ostatniego skazańca. Mówił to samo może, co innym, góręcej tylko i żarliwiej; blizkość straszliwej chwili dodawała siły jego wezwaniom i więcej miłosierdzia dźwięczało w braterskiej prośbie.

Lecz skazany zdawał się go nie słyszeć. Nie poruszył się, nie podniósł nawet głowy; ramiona tak jak i pierwej, z gestem bezradnej rozpaczy opuszczały się ku ziemi.

— Czy słyszysz mię bracie? zapytał zaniepokojony ksiądz.

Ów milczał.

Ksiądz dotknął jego ramienia.

— Czy słyszysz mię, nieszczęśliwy?

Skazany podniósł oczy i utkwił je w twarzy kapłana. Oczy szeroko otwarte, nieruchome, stępiałe, z dzikim wyrazem zastygłego w nich bolu.

Po twarzy księdza przebiegł skurcz cierpienia.

— Co jest w twej myśli, bracie? — zapytał śpiesznie.

Skazany drgał ustami — wreszcie z cicha, wyraźnie a bezbrzeżnie smutnie wyrzekł:

— Zostawiam żonę chorą i pięcioro drobnych dzieci — na pastwę głodu!

Dłoń księdza usunęła się z ramienia skazańca. Ogromna litość zalała mu serce, a jednocześnie uczuł się bezsilnym. Czy potrafi obudzić tę duszę? Czy zdoła oderwać ją od jej cierpienia? A czas już krótki, nie wolno stracić ani mgnienia oka.

Zaczął więc mówić o miłosierdziu Bożem, o Opatrzności, co ptaszęcia głodnego nie zapomina i dzieciom człowieczym skorpiona zamiast chleba nie poda.

Zdawało się wszakże, iż żadne z tych słów nie doszło do myśli skazańca; nie rozumiał, może nie słyszał ich wcale. Miał jedno tylko na ustach.

Ona chora, a tamte tak małe! Wszyscy zginą...

Więc ksiądz zaczął przekładać, jak za chwilę wszystko ziemskie dla niego się skończy, nie będzie miał domu ani żony, ani dzieci; duchem przed Duchem Bożym stanie, stworzenie przed swoim Stwórcą i zda rachunek ze spraw swojego żywota na ziemi, ze wszystkich swoich dróg i przeznaczeń...

— A ja zostawiam ich na nędzę i głód! — wykrzyknął skazaniec i ręce załamał nad głową.

Rozpacz ogarnęła kapłana. Gdzie znaleźć słowa, któreby przenikły do tej znękanej duszy, czem myśl oderwać od ziemskiej niedoli, na którą ratunku już niema! Stanież się praca jego nieukończoną — plon zbawienia niepełny? Jakiż zda rachunek przed Bogiem z owczarni mu powierzonej — z tej strasznej, z tej wysokiej — jedynej i ostatniej dla nieszczęśliwych chwili...? I stał niepewny, przejęty bólem, wstrząsany ciemnią zwątpienia, czy u kresu pracy nie opuścił go Bóg...?

Wtem ozwały się bębny — ogłaszająco, nagląco, szybko — huk jazdy śmierci, która tu wchodzi wszechwładna, w tryumfie... Zahuczała komenda oficera. Szybko zaczęto formować śmiertelny szereg. Naprzeciw stał drugi taki — gęściejszy, liczniejszy tylko — z bronią u nogi.

Ksiądz cofnął się złamany; lecz od ostatniego ze skazańców oczu nie mógł oderwać. I nagle, błysk gromu rozjaśnił mu wzrok. Z twarzą, wśród białych włosów płomienną, jak twarz archanioła, rzucił się wstecz, ku wojsku, odnalazł sierżanta i rzucił mu pytanie, krótkie, szybkie jak piorun rozkazu:

— Można zamieniać się kartą?

Sierżant drgnął.

— Można — rzekł machinalnie, wpatrzony w twarz księdza.

A ksiądz już był przy skazańcach. Błyskawicznym ruchem szarpnął kartę z rąk ostatniego skazańca, pchnął go wstecz ku szeregom kordonu, a na opróżnione przez niego miejsce sam stanął.

Ozwało się drugie słowo komendy: broń na ramię!

Jak błyskawica wyciągnął się las stalowych bagnetów — otwarte gardziele luf naprzeciw piersi skazańców.

Jeszcze słowo — i równy, zgodny, ogłuszający huk zatrząsł powietrzem — wstążka ogni przemknęła po stali — i wszystko — przestrzeń placu, dowódcę, żołnierzy, zabójców i zabijanych — obwinął, ciężki, szary, brudny dym i rozpełzł si szmatami nad ziemią.

. . . .

W promiennem słońcu, nad wioską ojczystą, na jasne błonia niebieskich bezbrzeży ciągnęły duchy wieśniacze, a pasterz je wiódł...

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Juljusz Słowacki: Anhelli, opracował dla użytku szkolnego dr. Wiktor Hahn. Brody, nakładem Feliksa Westa. Jako 29-ty tomik pożytecznej bibljoteczki arcydzieł polskich i obcych pisarzy, wydawanej przez brodzkiego księgarza p. Westa, ukazał się Słowackiego „Anhelli". Wydać „Anhellego" dla użytku młodzieży szkolnej było niełatwem zadaniem, jest to bowiem poemat trudny, a niektóre niejasności w nim są do dziś jeszcze niewytłómaczone. Pomimo to należało podjąć to zadanie, gdyż z drugiej strony tak język „Anhellego" jak zawarte w nim wzniosłe, czyste myśli, mają wielką wartość i to nawet wychowawczą. Wogóle znika już teraz coraz bardziej dawne uprzedzenie do drugiej epoki twórczości Słowackiego, z którą dotychczas zbyt pochopnie załatwiano się jako z mistyczną; w tym względzie wydanie „Anhellego" u Westa dla szkół jest wypadkiem bardzo charakterystycznym.

Objaśnienia do „Anhellego" dał dr. Wiktor Hahn, zany filolog, jeden z najlepszych znawców twórczości Słowackiego. Dr. Hahn we wstępie podaje genezę „Anhellego", następnie tłómaczy jego ideę zasadniczą, nie ukrywając, że poemat ma niejasności. Jest w tem takt pedagogiczny, bo dlaczegoż młodzież nie ma się zaprawiać do krytycyzmu? Ale z drugiej strony umie dr. Hahn z takimże samym taktem pedagogicznym zwrócić uczniowi uwagę na piękności estetyczne poematu, nie poddając mu przedwcześnie szablonowych sądów literackich, których uczeń nie rozumie, lecz zagrzewając go własnym entuzjazmem dla głębokiego poematu.

Poszczególne objaśnienia do tekstu są opracowane niezmiernie pilnie; niektóre podane są tu dopiero po raz pierwszy i są ważnymi przyczynkami do badań nad twórczością Słowackiego. Ze względu na to polecić możemy to wydanie „Anhellego" nietylko młodzieży ale i każdemu wielbicielowi Słowackiego. *J.*

Księga pamiątkowa Marjańska. W czasach największego upadku naszej literatury wychodziły na świat boży wielce szanowne foljały, które dziś mają wartość o tyle tylko, o ile przyozdobił je rycinami, wybitniejszy jakiś, lub mniej znany sztycharz. Takie „Hasła Słowa Bożego", „Chwały koronne", „Okruszyny ze stołu Pańskiego" i inne dzieła traktujące o koronacjach cudownych obrazów Matki Boskiej, stanowią zaczątek tej literatury pamiątkowo marjologicznej, której najnowszym wyrazem jest dwutomowy gmach, p. t.: „Księga pamiątkowa Maryańska", będący owocem kongresu sodalicji marjańskich niedawno z taką pompą we Lwowie odbytego. Pomijając już zupełnie treść dogmatyczno teologiczną, zasługuje ta książka ze względów historycznych na uwagę, gdyż jest próbą wszechstronnego przedstawienia czci Matki Boskiej w Polsce. Próbą jednakowoż niedokładną, bo z wyjątkiem paru artykułów rzeczywiście bardzo dobrych, roi się tam od prac kompilacyjnych, pobieżnych, ni to popularnych, ni to naukowych, a zawsze prawie nic nowego, ani źródłowego nie przynoszących. Nawet taka bibljografja marjologiczna, zestawiona z wielkim nakładem pracy przez prof. Bruchnalskiego roi się od bibljograficznych niedokładności. Wystarczy powiedzieć, że nawet taki pospolity szpargał z XVIII. w., jak wspomniane na wstępie „Hasło słowa bożego", nie jest dokładnie opisane, gdyż wylicza wszystkiego 37 kazań na uroczystdść koronacji obrazu Matki Boskiej u Dominikanów we Lwowie, podczas gdy w rzeczywistości jest ich 40. Również i system bibljograficzny użyty przez prof. Bruchnalskiego, należy do tych, któreby nawet przy tego rodzaju okolicznościowych wydawnictwach czemprędzej zarzucić należało. *F. J.*

Poradnik językowy zawiera w numerze kwietniowym kilka cennych artykułów z dziedziny językoznawstwa, między którymi ciekawe uwagi nasuwa rozprawka o korespondencji handlowej. Utarły się w niej bowiem wyrażenia i zwroty wzięte żywcem z niemieckiego, a będące zakałą języka. W roztrząsaniach porusza „Poradnik" wiele wyrazów wątpliwych i wiele pasożytów, które należy bezlitośnie wypleniać.

Niemniej numer majowy obfituje w cenne artykuły i roztrząsania wątpliwych zwrotów, oraz piętnowania barbaryzmów, które w gwałtowny sposób się szerzą w naszej mowie, szpecąc ją takimi wyrazami, ukutymi wedle widzimisię jakiegoś pisma, jak: p i e l ę g a r k a, n i e d o r o z w ó j, w s p ó ł c z u ć k o m u i w. i.

Wydawnictwo to nie powinno być obojętnem dla ogółu, który chce zachować dźwięk ojczystej mowy nieskalanym.

K. Kr.

ZAPISKI.

Z wystawy sztuk pięknych. W jednej z sal Tow. przyjaciół sztuk pięknych stoi projekt pomnika Słowackiego, dłuta p. Chmielińskiego, artysty dramatycznego. Słowacki, stojący na skale ma szeroki wielki gest, odnosi się jednak wrażenie, ja przynajmniej takie odniosłem, że jest to gest aktora-artysty, grającego Słowackiego niepewnie. Postaci symboliczne, bo za takie uważać je wypada, stojące niżej, są śmielsze. Bardzo dobrze rzeźbioną wydaje mi się Lilla Weneda z harfą i Kordjan, mniej doskonałą jest Roza Weneda, a najsłabszy Ksiądz Marek. Brak mu życia i właściwej treści w obliczu. Zresztą całość przedstawia się bardzo sympatycznie.

W rogu tejże samej sali jest popiersie p. J. Galla, również przez p. Chmielińskiego rzeźbione. Uważać je należy za bardzo szczęśliwie wykonane, w wyrazie twarzy najzupełniej harmonijne z piosnką „Gdybym był młodszy, dziewczyno!" *(g)*

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.